



**HELENA SEKUŁA**

**WSTĘGA KAINA**

Helena Sekuła

## WSTĘGA KAINA

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-19-9

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

1.

– Dzień dobry – Bogusz od niechcienia przycisnął kolbą drylingu porządnie złożone na trawie koszulę i spodnie Obcego.

Natknął się na tego człowieka przypadkiem i raczej domyślił niż rozpoznał kogo spotkał. Głupka od Artystki. Na imię miał Piotr, ale podobno sam siebie nazywał Minstrelem. Wtedy jeszcze Bogusz nie wiedział, co owo miano oznacza. Obserwował, jak tamten wychodzi z Rzeki. Nic w jego wyglądzie nie zdradzało, chciwie wypatrywanych przez Bogusza, znamion choroby psychicznej czy debilizmu.

Obcy przystanął na brzegu brązowy od opalenizny, szczupły, kształtny, pięknie umięśniony, zawahał się, po czym ruszył wprost na intruza stojącego między nim a jego ubraniem.

– Przepraszam pana – spoczęły na Boguszu brunatne oczy o wyrazie właściwym krótkowidzom i niektórym zwierzętom.

– Spokojnie – Bogusz się nie odsunął. Po raz pierwszy w dziennym świetle i z tak bliska miał okazję obejrzeć brata Artystki. Niepodobny do niej. Czarnowłosa, chłopięcy. Tylko niebieska smuga wygolonego zarostu zdradzała męczyznę. Z dziesięć lat młodszy od Artystki, ocenił.

– Jestem spokojny.

– Skąd to masz? – Bogusz dotknął jego barku. Na miedzianej skórze pieniały się jaśniejsze zgrubienia o poszarpanych brzegach. Tatuaz blizn znaczył piersi i ramiona.

Głupek milczał.

– Szramy od noża. Majcher, finka, albo zwyczajny trybownik. Kto ciebie tak pokrajał, człowieku?

– Wrogowie Silenzia.

– Czym się naraziłeś wrogom, jak mu tam, Silenzia?

Głupek nie odpowiedział.

– Kim jest Silenzio?

– Był moim przyjacielem.

– Już nie jest?

Milczenie.

– Mieszkał z wami?

– Chcę się ubrać, proszę pana.

– Poczekaj, porozmawiamy. Jeszcze nie powiedziałaś dlaczego już nie przyjaźnisz się z Silenziem – Bogusz wciąż nie zdejmował strzelby z odzienia głupka.

– Przepraszam pana.

Zanim Bogusz zdążył ochłonać, znalazł się pod sąsiednim drzewem niespodzianie ujęty pod boki i przestawiony jak zawadzający przedmiot. Głupek skoczył w gąszcz, chwytając w biegu ubranie, chwiała się tylko jałowce zdradzające ślad jego ucieczki.

W jakiś czas później Bogusz ujrzał Artystkę. Nie widziała go za zasłoną drzew. Karmiła łąbędzie nad Rzeką. Wielkie ptaki, przysadziste i ciężkie, kolebały się człapiąc po brzegu, jadły z jej rąk.

W tym czasie nad łąbiedziami z Wielkiego Jeziora zawisło niebezpieczeństwo. Za bardzo się rozmnożyły, ich nadmiar może spowodować zakłócenie ekologii wód – argumentował ktoś z centrali niewidzący dalej swego nosa. Nawet nie wiedział, skunks jeden, czym się ten ptak żywi, myślał, że rybami. Bić, planowo oczywiście, pierze sprzedawać za waluty wymienialne.

Bogusz pamiętał, co mówiła jego matka dawno temu: najszlachetniejszy puch, delikatniejszy od gęsiego, mają łąbędzie, a najlepszy pod skrzydłami. On jednak nigdy nie zapragnął poduszki z łąbiedzich piór.

– Bogusz pomóż – ochroniarze znad Wielkiego Jeziora wpadli w panikę. Memoriał jeden, drugi, trzeci. Łabędź niemy, ginący gatunek, zanika w Europie.

Łabędź niemy. W górze Rzeki żyje para. Co roku wodzą młode. Z gotowymi do ataku skrzydłami czuwa samiec nad spokojem piskląt. Małymi, groźnymi oczyma śledzi pojawiające się czółno, jakby bronił przystępu do nadbrzeżnej skarpy umocnionej ciosem z podniesioną z ruin dawną pańską siedzibą, olśniewającą bielą pod czerwoną dachówką.

Bogusz obronił łabędzie. Ośmieszył ów projekt i ignorancję jego twórców, wykazał szkodliwość i nieopłacalność przedsięwzięcia. Dopiero wtedy Ona go zauważyła. Jego. Pierwszą osobę w Sarniej. A chociaż składała podpis pod każdym apelem domagającym się bezpieczeństwa dla ptaków, z początku Bogusz nie odgadł w niej nieprzejednanej ochroniarzki. Pewnie dlatego, że sam opowiedział się po tej samej stronie.

Kiedy się zorientował i zaczął kręcić bat na Artystkę, już jadł i pił przy jej stole w niezwyklej izbie pod belkowaną powałą z kuchnią licowaną renesansowymi kaflami, siadywał w berżerach krytych jedwabiem, w wielkim salonie pod antycznym pajakiem z kryształowych sopli, mimowiednie sumując wartość porcelany, obrazów, instrumentów muzycznych złożonych w oszklonych szyfonierach pośród poczerwieniałych ze starości mahoni, stąpał po cennych dywanach, a Ona nie omieszkała objaśnić, co leży pod nogami: buchara, sziraz, tebriz.

– Skopiowane z reliefu – powiedziała o kobiercu osłaniającym ścianę od fryzu po posadzkę z wyobrażeniem postaci w luźnych strojach. Wtedy jeszcze nie wiedział, kogo przedstawia owa trójca.

Ona lubiła, niby od niechcienia, komentować swój skład staroci. **K u l t u r a**. Pierwszego wieczoru miała na sobie suknię z mory koloru dymu, pod wpływem światła splot jedwabiu falował, układał w ruchome słoje. Na szyi, na palcach, w uszach i na przegubach nosiła turkusy.

Orfeusz, Hermes i Eurydyka, nazwała tamtych z gobelinu. Imiona niewiele mu powiedziały. O Orfeuszu słyszał, że to starożytny muzykant, Eurydyki były na płycie Anny German... Kto ma takie piękne oczy? Eurydyka... Po tej prezentacji w salonie dokładnie sprawdził i dopiero się dowiedział. **M i t o l o g i a**.

Dlaczego człowiek niezorientowany w przedpotopowych opowieściach ma braki w kulturze, natomiast jeżeli je zna, nic nie ujmuje ignorancja w zakresie statyki, na przykład. Bogusz zna statykę, statyka jest jego zawodem, lecz Ona nie zaliczyła fachowej wiedzy na jego dobro, jakby prowadziła Wielką Grę w telewizji. Nie możesz brać udziału w dziedzinie, z której jadasz codzienny chleb. Na jej Kulturze też jeszcze farba nie obeschła, obnosi do niczego nieprzydatne wiadomości, jak swoje suknie z lioriskich jedwabi i srebrne ozdoby z Orno. W każdym razie jemu niepotrzebne, mógłby żyć nic o nich nie wiedząc, nie potykać się o umowne wartości jak o przeszkody zastawione w mroku.

– Wyzwoleńcy – tym mianem określiła ludzi takich jak Bogusz pewna intelektualna pani.

Zapamiętał jej nazwisko i zniechęcił, nie chcąc przyznać jej racji. Publikacją – próbującą usprawiedliwić, bronić i wyjaśnić osobowość chłopów, jacy w przyspieszonym procesie przemian społecznych zmienili swój status – poczuł się osobiście znieważony, chociaż nie utożsamiał się z tym środowiskiem, uważając za kogoś lepszego, ponieważ wiódł się ze szlachty. Jednak przynależąc do pierwszego pokolenia, które opuściło wieś, nie zgadzał się na ów portret, za mało piękny, za mało godny, a w jej interpretacji jeszcze bardziej dosadny, jeszcze bardziej raniący jego miłość własną.

– Nie ma nic gorszego od przemądrzałej baby, a już baba pismak! – gdyby od niego zależało, nie wydrukowano by ani litery z wywodu intelektualnej pani.

– Jesteś gorszy niż beton, jesteś beton zbrojony – napadła na niego córka.

– Znów rozdajesz etykiety – wiedział, czym ją pognać.

– Mam to po tobie – usłyszał jak wtedy, gdy powiedział o wypchanych petrodolarami arabskich pastuchach panoszących się po warszawskich knajpach, kupujących obsługę, dziewczyny, taryfiarzy. Zwyczajnie, był wściekły, wyczekał się na kolację podaną jak z łaski, miał trudności z dojazdem na lotnisko, wokół obłapiały się dziwki ze smagłymi chłopakami, we wszystkich taksówkach parkujących pod hotelem były liczniki opłacone przez Arabusów. Ale ona nie darowała. Zrobiła aferę. Zarzuciła ojcu rasizm.

– Znam cię. Jestem do ciebie podobna. Widocznie to się dziedziczy jak rysy twarzy, podatność na pewne choroby, kolor oczu. Napracowałam się, żeby wypłenić swoją ksenofobię, jednak coś pozostało i jeszcze czasami dolega jak miejsce po odciętej kończynie.

Wtedy się pogniwali. Nie rozmawiali ze sobą przez kilka miesięcy. Oboje uparci. Mam to po tobie! I okrutna ciekawość bezstronnego świadka, jakiegoś przyrodnika obserwującego ojca jak wymierającego owada. Jego dziecko. Jego krew. Powinien mieć syna, wielu synów, może byłoby inaczej. W niej nie ma przyjaciela, tylko wiecznego prokuratora. Nie można żyć stale na sali sądowej. Coraz częściej przed nią ucieka. Może źle ją wychowali?

Miała wszystko, albo prawie wszystko, ani razu nie była naprawdę głodna, nigdy nie zaznała śmiertelnego strachu będącego udziałem jego pokolenia i do późnej młodości nie zarobiła ani grosza. Zamiast solidnego zawodu studiowała etnografię. Z bandą takich samych obszarpańców w dolarowych niby-szmatach łąziła po wioskach, szukając ich wczorajszego dnia i to jej wystarczało.

Może jednak trochę jej zazdrościł. Przedłużonej młodości, swobody, nieliczenia się z układami. Ciekawe jak długo wytrwa w swoich poglądach na życie, jeśli przestanie jej zwozić kosztowne gałgany, fundować zagraniczne wycieczki i dokładać do śmiesznie niskiej pensji, myślał mściwie, lecz zwoził, fundował, podtykał. Może imponowała mu taka inna, nie pędzona pragnieniem posiadania, zrobienia kariery, i podświadomie bronił się przed utratą złudzeń.

Polowała na jego potknięcia. Jakiś zwyrodniały instynkt myśliwski objawiający się tylko w tropieniu ojca. Łowów na zwierzynę nie znosiła.

– Śmierdzi mordem – pociągała nosem podczas rzadkich, coraz rzadszych przyjazdów do Sarniej.

Inaczej niż w dzieciństwie, kiedy nie dawała się stąd zabrać, urządzając dzikie awantury pod koniec ich urlopów. Zawsze była rozpuszczona. Ja nie miałem, niechaj moje dziecko ma wszystko. Wtedy jeszcze nie mieli daczy i w ogóle na dorobku. Nie chcieli więcej dzieci, żeby nie płodzić dziadów. Jedno dziecko jak jedna koszula, mawiała, jego, Boguszowa matka. Nie doczekała wnuczki hodowanej jak paniątko. Aniela powiadała, że za jej młodości dzieci Sarniejskiego dziedzica ani połowy tej swobody nie miały co mała Bogusza.

Aniela.

Czyżby bywając codziennie u Artystki, często tam nocując, nie zorientowała się w rodzaju więzów łączących rodzeństwo. Może tylko udaje, nie chce wiedzieć, najlepszym wyjściem w jej sytuacji jest nieświadomość. Korzystniej opowiadać legendy o szlachetności Artystki, która poświęciła życie swojej sztuce i nieudanemu bratu. Ten brat, nazywający siebie Minstrelem, chociaż w dokumencie zapisane Piotr, nigdy nie pokazywał się w salonie, nigdy nie wychodził do gości.

Z czasem Bogusz zapomniał, czy na początku powodowała nim tylko ciekawość, czy już poczucie zagrożenia, lecz uparte zainteresowanie jej życiem najpierw objawiło się pragnieniem obejrzenia siedziby, jakby tutaj, wewnątrz nowo wzniesionego dworu, pośród rzeczy sprowadzonych z całego świata, ona ukrywała tajemnicę i cenę sukcesu.

Dobrze pamięta, kiedy to się zaczęło.

Siedział w salonie, mimo woli szacował wartość poszczególnych przedmiotów, dodawał sumy, słuchając i nie słuchając, patrząc i nie patrząc na jej palce krzątające się

pośród czarnych bemoli. Nagle poczuł prąd powietrza, pod przyssaną powiewem tkaniną z wyobrażeniem mitologicznych postaci dostrzegł obrys futryny.

Gobelin zasłania drzwi, wtedy jeszcze nie pomyślał: ukryte drzwi. Z czasem pod wpływem wciąż tej samej nieposkromionej ciekawości zaczął się zastanawiać nad rozplanowaniem pomieszczeń i jeszcze nie rozumiejąc po co, porządkował w pamięci ich domniemany rozkład.

Nadal nie rozeznawał się we własnych zamiarach, niczego z początku nie projektował. Pod wpływem nagłego zamysłu zaimprovizował atak lumbago. Nigdy nie cierpiał na ową dolegliwość, lecz od dawna potrafił przekonująco udawać. Hexenschuss, w jego odczuciu to określenie brzmiało bardziej elegancko. Choroba niemal idealna, przydatna w różnych okolicznościach, miała i tę niewątpliwą zaletę, że nawet lekarz rzadko potrafił przejrzeć umiejętną symulację.

Zagrał dobrze, stworzył wiarygodne pozory i pozostał na noc u Artystki w jej zabytkowym domu niedawno podniesionym z martwych, zawsze zamkniętym i strzeżonym, otwierającym się tylko przed gronem ludzi z pokrewnych zawodów.

Ułożyły go w wąskim alkierzu, gdzieś na głębokim zapleczu budynku, pewno w dawnej izbie czeladnej z oknem podzielonym szprosami na sześć kwater, za którymi po czubach modrzewi wtaczał się cynobrowy księżyc. Bogusz wsłuchany w ciszę udawał, że śpi po środku znieczulającym, pastylkę wypluł ukradkiem, i czekał pełni nocy, aby przekroczyć ukryte przejście pod gobelinem z mitologicznymi postaciami, chociaż wcale nie spodziewał się ujrzeć tego, co zobaczył.

Wstał, kiedy na posadzce legł cień okiennej ramy, ukośnie wydłużony prostokąt z repliką szczeblin, odbicie faliście załamywało się na bosych stopach, czuł śliski, chłodny parkiet, później matową, zimną powierzchnię kamiennych płyt sieni, ale wielki salon był zamknięty na klucz.

Po omacku trafił w jakiś korytarz, aż znalazł się w pomieszczeniu bez okien, najpewniej szatni z wielością luster. Ze wszystkich stron ruszyła ku niemu niewyraźna postać uwita z gęstszego mroku, on sam. Przeżył moment grozy, zanim pojął, że to tylko zwierciadlane odbicie.

Szukając dalszej drogi, uchylił rąbek portiery. Niewidoczny z głębokiego cienia, zobaczył pokój, dokąd również wiodły drzwi schowane za makatą w wielkim salonie.

Stąd ukrywany kochanek mógł słuchać jej popisu przed gośćmi i czekać na nią w przepastnym łożu ze szczytami pikowanymi jedwabiem, aż trudno zauważyć, gdzie kończy się poślanie, a zaczyna kołdra, tak samo delikatnie różowa, tylko z mankietem kremowej koronki od strony zagłówka. I wszędzie podobna tkanina, zasłony w oknach udrapowane w poprzeczne fale, ściany, sufit wybite ową połyskliwą materią, abażur na nocnej lampie rozświetlającej mrok, całe pomieszczenie wymodelowane w jednakowej fakturze o tej samej barwie, jak wnętrze konchy. Pośród atlasów dwa nagie ciała osrebrzone poświatą zachodzącego księżyca.

Sypialnia Vedety z ubiegłego stulecia, raczej utrzymanki bogatych mężczyzn, pomyślał: dziwki, albo jeszcze dosadniej, jakiejś Nany czy podobnej postaci z serialu oglądanego w telewizji. Ale porównanie przyszło później, nie wtedy gdy opuścił draperię odgradzającą garderobę. I sam już nie wiedział, czy ogarnął wszystko spojrzeniem zza uchylonej kotary, czy nałożyły się szczegóły zasłyszane w czasach, gdy nie upłynął dzień bez doniesień o dworze: kładą stiuki, sztablatury, posadzki, przywieźli meble, instrumenty, świeczniki.

Ukryty w ciemności przekradł się z powrotem. Zaskoczony widokiem tej pary, uderzony przepychem sypialni, zarejestrowany obraz jak fotografię uniósł w pamięci. Nie starczyło miejsca nawet na zdziwienie. Dopiero po powrocie do alkierza zdobył się na stwierdzenie. To Ona. Artystka ze swoim ukrywanym bratem.

Zgroza. Oburzenie. Potępienie. Grał przed samym sobą. Tak naprawdę nic go nie obchodził ów związek zakazany przez Boga i ludzi. Liczyło się jedno. On wiedział. I mógł tej wiedzy użyć przeciwko niej i użyje, jeśli nie znajdzie czegoś bardziej ważkiego. Ale ten jej brat, ten zdeprawowany głupek, sam pomagał kręcić bat na Artystkę, sam wpadł Boguszowi w ręce.

Natknął się na niego przy paśniku w pobliżu bagiennych jezior. Śpiewał jakąś gniewną pieśń bez słów i gołymi rękoma rozwał wiatę, żłób, wrywał korytka z lizawkami.

Niedawno znajomy Bogusza, polifonik, przypadkiem usłyszał brata Artystki w lesie. Powtarzał frazę kosa już przetworzoną w oryginalną melodię. Gość Bogusza był zdumiony, lecz nie udało mu się zobaczyć śpiewaka z bliska.

Bogusz nie miał wrażliwego ucha, nie wiedział czy to, co tamten wykrzykuje, jest godną uwagi kompozycją. Zresztą głupek zamilkł, gdy tylko zauważył obcego.

Przez chwilę Bogusz zawahał się, czy wyjść na odkryty teren. Przecież to szaleniec, pomyślał widząc jak ten człowiek wrywa, rozbija, łamie ostoję służącą dokarmianiu dzikich zwierząt. Dotychczas nie wierzył opowiadaniom, że oni tam we dworze nie używają lewarka, brat Artystki małego fiata za zderzak unosi. Teraz się przekonał. Podobno jest łagodny, mimo tej swojej mocy muchy nie skrzywdzi, lecz tutaj zachowywał się niczym furiat. A ręce ma jak kleszcze, przypomniał sobie uścisk dłoni głupka, kiedy stanął między nim a jego ubraniem i wypytywał o blizny.

– Przezań! – wyszedł na polanę, nie mógł beczynn timer patrzeć na zniszczenie, wszystko się w nim burzyło.

Brat Artystki odrzucił trzymany właśnie kołek i ruszył w kierunku Bogusza, ale tym razem on nie dał się zaskoczyć. Miał flintę i zrobił z niej użytek.

Obniżył lufę i pociągnął za spust. Pocisk ryje ziemię, pryskają szpilki, suchy mech, grudki próchnicy, głupek podskakuje, Bogusz strzela, głupek znowu podskakuje, w Boguszu opada mordercza furia, żeby się zupełnie od niej uwolnić jeszcze raz odwodzi kurek, brat Artystki zwała się na podszycie i nieruchomieje jak przewrócony manekin.

– Ty, nie udawaj – przypada Bogusz, szuka tętna, odeszła go cała złość.

Budzi się niezadowolony z siebie. Źle wypadło. Nie chciał zrobić krzywdy, może tylko w jednej, jedynej mrocznej chwili, krótszej niż myśl, ale przecież nic złego nie stało się temu szaleńcowi.

Głupek ma ciepłe ręce, wyczuwalny puls, pod puchową kurtką, pod mocno sklepioną piersią pokrytą tatuażem blizn zwyczajnie bije serce. Zemdlął ze strachu? Trzeba wody, wytrząsa z myśliwskiej torby manierkę, dopiero widok płaskiego pojemnika obszytego zamsem przypomniał o koniaku. Przytknął tamtemu flaszkę do ust. Na brodę pociekł złocisty płyn, ogrzany zapachniał winnicą, słońcem, dębiną.

Boże! Marnować t a k i trunek. I nikt się nawet nie dowie, co za napitek rozlewał po tym głupku, a najmniej głupek, chociaż podobno był we Francji, lecz nawet jeśli był, z pewnością nie spijał Philippona.

Ciężkie młoty kują w skroniach, ucisk w ciemieniu. Skoczyło ciśnienie. Bogusz nie może sobie przypomnieć, czy brał proszek, świetną patentowaną pastylkę firmy Sandoz, wyrównującą obieg krwi. Sprowadza je ze Szwajcarii.

Pokrzepiony napojem brat Artystki mruży oczy i przygląda się Boguszowi, jakby go nigdy przedtem nie widział. Jest oszołomiony, apatyczny, słaby. Bogusz pomaga mu usiąść.

– Pociągnij jeszcze, dobrze ci robi – prawie nie żałuje dostatego trunku, znowu podając manierkę.

Głupek przysysa się do szyjki.

– Dosyć, to nie woda – Bogusz odbiera flaszkę, głupek przymyka powieki.

Bogusz wymyśla sobie bezgłośnie. Jak mógł aż tak nad sobą nie zapanować. Sam sobie odebrał punkt. Zaprzepaścił poważny atut, do tego jeszcze musi niańczyć głupka. Może on wcale nie jest nierozgarnięty, może tylko udaje?

Następna wiadomość o Artystce dotarła do Bogusza z gazety. Aby nie utracić przynajmniej biernego kontaktu z językiem, Bogusz czytywał angielskie i francuskie pisma. Tam natknął się na notatkę o nowej pani na Sarniej.

Nasta. Głosił tytuł i nic więcej poza imieniem. Nasta pod Nike z Samotraki w Luwrze. Nasta śpiewa. Nasta w przytułku sióstr Franciszkanek w Corentin-sur-Marne pod Paryżem składa kolejną ofiarę na rzecz upośledzonych.

Jakby brakowało ubogich krajowych przygłupów, ona musi wspomagać francuskich. Reklama – ocenił Bogusz intencje Artystki i nigdy nie odgadł, co się za tym kryło.

Z biegiem czasu z właściwą sobie metodycznością, bez pośpiechu, czynił poszukiwania ciemnych miejsc w przeszłości tej kobiety. Skoro nawet Bogusz je ma, każdy musi mieć. Zaczął od źródeł, od rodzinnych stron Artystki.

– W telewizji jej nie pokazywali, pewno nie taka znów znacząca – młodzi prawie nic nie wiedzieli o sławnej krajance.

Starsi niechętnie wspominali bosą, zawsze głodną Nastkę Radziejów, która po latach, wystrojona jak wielka pani, przyjechała na pogrzeb ojca i zabrała ze sobą Idiotę, pozostawiając należną mu część spadku matce i Marynie, najstarszej z rodzeństwa.

– Daleko są moje dzieci – wymamrotała jej matka.

Wyschnięta kukiełka z twarzą jak skórka razowego chleba, zawinięta w fałdzistą spódnicę z samodziałowego półsukna, materiału jaki za jej młodości tkano tylko w zamożniejszych gospodarstwach; najpewniej świata trzymały się jeszcze dłonie. Duże, zgrubiałe, poprzecinane niebieskimi żyłami z rozetami zwiedłej skóry na rozdętych stawach, bezrobotne spoczywały na podolku.

– We świecie moje dzieci, nie pomnę od jak dawna – zapadłe oczy uroniły łzę, nie spojrzwały na Bogusza.

Ona pewno w ogóle go nie widziała, tylko swoje dzieci. Spoglądała na nie z oddalenia, z głębin czasu poprzez przeżyte dni i lata, zanim zostały poczęte, zanim powstało ziarno na ich siew. I ten czas przeżyty przez nią, tylko przez nią, utrwalony w zmarszczkach, odmienił, stworzył inną twarz, spod której niekiedy przebierało jej najpierwsze oblicze: niedostępne, nieodgadnione, nieznanne. Spoglądała zza setek, tysięcy godzin, niepojęta, nieważna, niepotrzebna swojemu potomstwu, oni także wciąż bardziej obcy, bardziej dalecy, bardziej niezrozumiali i nic nie umiała powiedzieć o tamtym umarłym czasie, sama w pół nieżywa z gasnącą świadomością, beczynna, zajęta swoim przemijaniem. I tylko jak wspomnienie, wielokrotnie gnieciona i wygładzana koperta z doszczętnie zatartym adresem.

– Tam żyją moje dzieci, u zakonnic żyją moje dzieci, we Francji.

2.

Pod kępą arcydzięgla leżało dziecko sarny.

Płowozłote z oczyma koloru owocu tarniny spoczywało wśród wysokiej trawy. Migotliwy cień podobniejszego krzewom potężnego ziela gasił walor sierści, przesiany przez liście słoneczny pył tańczył gniadymi plamami, stapiając się z maścią koźlęcia.

Tak Puszcza skrywa bezbronych. Przed złym okiem człowieka, przed ślepiami rysia, przed drapieżną żrenicą jastrzębia przelatującego nad leśną łąką, oprawioną w rudy masyw chojarów pocących żywicę pod czapami z kobaltu.

Dziecko sarny było samo.



Minstrel natknął się na nie przypadkowo. Wyszedł z mrocznej gęstwiny i oślepiiony słońcem brodził pośród kwitnącej polany. Jasna zieleń trawy przypominała kamienie, jakimi Nasta niekiedy przyozdabiała uszy i ręce. Graniaste oka łamią na okruchy promienie i sieją światło. Nie lubił tych twardych, przejrzystych gładyszy. Zazdrościł, że mogą siedzieć uczone uszu Nasty, więc się nad kciukami dłoni i wokół szyi Nasty, wpojone w złociste kręgi opasywać palce Nasty. A Minstrel nie może, nawet gdyby Nasta pozwoliła. Jest za ciężki i za duży, aby mógł huśtać się jak kolczyk albo leżeć w wycięciu sukni na piersi.

Piersi Nasty. Przenika go nostalgia i pewno dlatego rozbiegają myśli na całą wieczność. Nie zna pojęcia czasu. Chwila, dzień, noc jest ciągiem dziania się rozdzielonym interwałami. Zmąceniem myśli rozkołysanych jak dzwon albo pustą równiną, albo niebytem, albo bolesną kakofonią dźwięków, albo snem bez snu. Zmiennymi obrazami zamkniętymi w Minstrelu, jakby miał zepsute kino wewnątrz siebie.

Zdarzenia ze snów bez snu Minstrel odróżnia od przeżywanej rzeczywistości. Dostrzega zmiany zachodzące w otaczającym świecie, czuje je całym sobą, jakby był tylko wzrokiem albo słuchem, albo poręczą fotela, na której spoczywa dłoń Nasty. Lecz czas nie ma z tym nic wspólnego. Nie kojarzy się z listkami brzozy najpierw wyglądającej jak przezroczystry szal Nasty, później spowijający drzewo gęstwina. Nie ma wpływu na pachnące żywicą, lepkie świerkowe przyrosty brudzące ubranie, za co łaje Aniela. I nie ma żadnego związku ze śnieżną okiścią otulającą iglaste łapki, jak białe futro ramiona Nasty. I nie ma związku ze zmarszczkami na twarzy Nasty, które ona starannie zaciera mastyksem, przeglądając się w psyche oprawnym w srebrny filigran.

Lustra.

W ciemności mierzchną, ich płaskie, srebrzyste oblicza zaciąga martwota; pozbawione odbicia świata, który jest ich bytem, sensem i radością istnienia, trwają puste, smutne, na wpół umarłe, póki nie dotknie ich pierwszy promień dnia, znowu przywracając życiu.

Tak śpiewają zwierciadła. Ich pieśń opowie Naście. Siostrze Agnes nie opowie. To sprawa doczesna. Siostra Agnes nie jest d o c z e s n a, nie będzie rozmawiała z Bogiem językiem luster, płochą muzyką. Do wymiany myśli z Bogiem najlepszy jest Händel, Beethoven, Haydn – uczyła siostra Agnes.

Ona nie zna życia luster ani ich duszy. Skąd może wiedzieć skoro nie ma nawet najmniejszego, nawet takiego, jakie można ukryć w kieszeni. Zakonnice gardzą zwierciadłami i w całym opactwie są tylko dwa. Jedno w zakrystii, służy kapelanowi podczas ubierania się do mszy. Drugie wisi w korytarzu przy szatni, sędziwe i zamglone, w którym One sprawdzają tylko czy równo upięły welony. Raz na dzień. Rano.

I pewno zaraz chciałyby wiedzieć, od kogo Minstrel słyszał o kryształowych taflach w złożonych ramach ozdobionych figurkami spaśnych nagusów z łukami w rękach i kołczanami przerzuconymi przez plecy, nagich, tłustych Puttach w marmurowej sieni Domu Lalek z opowieści Silenzia, podobnych aniołkom gołym i złotym fruującym pośród tralek balustrady otaczającej cantorię, gdzie panoszył się Potwór przemawiający urzekająco pięknie niezmiernym bogactwem odcieni. Jego głos ogarniał i przenikał całą istotę Minstrela. W takich chwilach wyzwolony i szczęśliwy szybował pod sklepieniem transeptu, a jego nieważkie ręce automatycznie poruszały miechy na platformie chóru.

– Manuały są z hebanu i kości słoniowej – mówi siostra Agnes, pieszcząc bladą, wiotką ręką rzędy czarnych i żółtoszarych klawiszy.

– Zęby – szepcze Minstrel.

One nawet nie są takie straszne. Duże przednie siekacze. Ale ono ma także kły. Wypełniają połowę galerii zawieszonych nad kruchtą, szczerzą szeregi srebrzystych kłów, krótszych, dłuższych i olbrzymich sięgających malowideł stropu. Niesamowite, śpiewające. Z całą emporą wyłożoną i wielobarwną są rozwartą gębą monstra, czyhającego na Minstrela. Prowadzony przez siostrę Agnes, sparaliżowany grozą i nieprzeparcie pociągany pragnieniem

usłyszenia śpiewu Potwora, wchodził, mały Jonasz, w paszczę wieloryba, by kalikować. Ledwo odrosły od ziemi, sięgający brodą klawiatury.

Gra świerszcz. Rozsypuje tony jak okruchy słońca przesiane przez liście arcydzieła.

Siostra Agnes umiała zwabiać dźwięki i zamykać w znaczkach, kijankach z ogonami. Nasta też więzi je w czarnych kroplach pośród smolistych krech przecinających białe karty niczym ścieżki danieli na olsach. Podobnie zamyka jego, Minstrela, na klucz w pokoju, gdy się na niego gniewa lub gdy przychodzą goście.

Kiedy był mały, tak mały, że wciąż trzymał się habitu opiekunki, nie chciał, aby zmuszano do niemości melodię, więc protestował, płakał, nawet krzyczał, zanim nie przekonał się jakie to niegroźne.

– Muzyka jest językiem, a nuty alfabetem, pismem służącym tej mowie – wyjaśniała siostra Agnes.

Siostra Agnes brzydziła się kłamstwem, siostra Agnes nie oszukiwała i sprawiedliwie traktowała innych, jednak nie udało jej się przekonać Minstrela. Wprawdzie gdy podrośł przestał wyczytniać brewerie, ale pozostało uprzedzenie do partytury.

– Nuty tu tylko odpoczywają, jak w łóżku. Albo się kochają, albo śpią. Zaraz je obudzę – powiedziała kiedyś Nasta i otworzyła pianino.

Nasta zonglowała prawdą jak tresowana foka piłką na nosie, którą Minstrel widział w kopenhaskiej Tivoli, Nasta cofała obietnice, Nasta fałszywie świadczyła, Nasta doprowadzała do rozpaczki zmiennymi nastrojami, a jednak jej wyjaśnienie uznał za właściwe i piękne, chociaż rozumiał, że nie było prawdą.

Pieśń znowu wypełniła przestrzeń tak samo jak przedtem. Snuła się spod palców Nasty nawet żywiej i pełniej, pewno dobrze jej zrobiło wylegiwanie na pięciolinii i pewno kocha jak Minstrel ręce Nasty na kremowej klawiaturze, potrafiącej opowiedzieć wszystko, czego Minstrel nie umie wysłowić. Dlatego darzy uczuciem instrument, objaśniający za Minstrela niewypowiedzialne, chociaż jego dłonie są ciężkie, duże i brzydkie – gdzie im do rąk Nasty smagłych, jakby zawsze nasyconych słońcem, z różowymi opuszkami, cielesnych. Gdzie im do dłoni siostry Agnes przypominających lilie nazywane przez Anielę kwieciami Świętego Józefa, gdy układała w wazonie świetlicie blade kielichy i ustawiała na komodzie pod obrazem wiszącym w starej chacie, którą zbudował pradziad Anieli.

Kiedy Minstrel bał się jeszcze bezgłowych potworów, próbował je naśladować, ale zęby Minstrela nie chciały śpiewać. Omal ich sobie nie wyłamał przymuszając do wydawania dźwięków. Taki był niemądry. Cierpliwie tłumaczyła siostra Agnes, że to niemożliwe, oswajała z instrumentami, pokazując co mają w środku i jak rodzą głos.

Polubił potwory.

Potrafią wypowiedzieć światy ukryte wewnątrz Minstrela, wtedy Nasta wszystko rozumie, chociaż zdarza się nie pojmując zwyczajnej mowy, szczególnie jeśli on wpada w złość. Lecz kiedy Minstrel z pomocą Potwora opowiada coś nowego, ręka Nasty szybko biega po pięciolinii, roniąc czarne krople.

Nasta także próbowała nauczyć Minstrela usypiania tonów na papierze, żeby potrafił rysować, rozumieć i odczytywać owe kijanki i esy floresy nazywane kluczem wiolinowym, i on nawet bardzo chciał i bardzo się starał, ale nic z tego nie wyszło, chociaż Nasta się na niego gniewała i nie pragnęła go kochać.

– Mój ty matołku – westchnęła kiedyś już bez urazy i przegarnęła mu włosy na czole.

Zrozumiał. Nie będzie dłużej nękanym czarnymi ziarnami wyrastającymi na białym kartonie jak sporysz na zbożu. One nic go nie obchodzą i wcale ich nie potrzebuje. Bez nich zawsze słyszy jak śpiewają kamienie, cudzoziemskie miasta i trawa, drzewa, domy. I każdy przedmiot jeśli się w niego wczuć, przemawia swoim jedynym, jemu tylko właściwym głosem. A czasami te głosy łączą się we wspólną pieśń, najczęściej kiedy Minstrel jest

szczęśliwy, albo przygnębiony albo zły, albo gdy czuje jak bardzo kocha Nastę, albo kiedy jej nie lubi, bo czasami wprost jej nie znosi, nie przestając odczuwać, wielkiej aż bolącej miłości.

– Ty moje największe kochanie, podła, przewrotna kobieto! Krzyżu, Golgoto – mówi jej czasami w oczy, dodając różne nowe słowa do przyswojonych kiedyś od Silenzia, po czym kładzie się twarzą do ściany, bo gdy naurąga Naście, robi się chory i cierpi w nim wszystko, zwłaszcza niezborne nagle myśli ranią, jakby Minstrel nosił kolczasty wieniec wewnątrz głowy.

– Nie bluźnij! – napomina Aniela, jeśli on mówi o swojej cierniowej koronie, w taki sposób odpowiadając na pytanie: dlaczego gniewa się na jedzenie, milczy jak niemowa i co widzi ciekawego na ścianie, w którą wpatruje się przez cały dzień?

Wciąż gra świerszcz, sypie migotliwe nuty, Minstrel budzi się z nieśnionych snów i już wie, co zrobi.

Nazbiera traw o odcieniu ozdób wieszanych na sobie przez Nastę, będzie go za to kochała. Dawno zauważył, Nasta darzy uczuciem i bardzo dba o zielone kamienie. Minstrelowi nawet ich dotykać nie wolno. Nasta opasuje sobie nimi szyję, ręce, przypina na ramieniu, a gdy je zdejmuje troskliwie układa w wymoszczonym jedwabiem pudełku zamykanym na klucz. No, przynajmniej także je zamyka jak i Minstrela, a wypuszcza rzadziej. To trochę łagodzi niechęć do graniastych, zarozumiałych gładyszy.

Schyla się ku źdźbłom, ale ich nie zrywa, kładzie na wznak i słucha, jak śpiewają rośliny. Cała łąka podzielona na głosy wtóruje świerszczowi i coraz wyraźniej rysuje się melodia. Minstrela ogarnia pieśń polany.

Świerszcz wie temat, kontrapunktuje brzęczenie zabłąkanego w jasny ranek komara, rozbrzmiewa odpowiedź w interwale. Źdźbła, liście, owocniki splatają prymy, tercje, seksty... nony i decymy, aż wreszcie wszystkie głosy łączą się w całość, w której ginie i znów odżywa pieśń świerszcza.

Ucicha. Wtedy Minstrel spostrzeżga koźlę. Sponad umilkłych traw wystaje brązowa mordka. Oczy jak dwie śliwki tarniny, patrzą na człowieka. Minstrel zastyga. Jeszcze nigdy nie widział z tak bliska dziecka sarny. Podglądał daniela idącego przed świtem pić wodę ze strumienia. Na mszarach nieraz spotykał łosia niemal twarzą w twarz i Minstrel udawał zdechłego żuka, żeby taka wspaniała, piękna osoba nie musiała sromotnie uciekać. Uczył się. Obserwował jak łoś stawia badyle obute w kapciaste racice, godnie i pewnie poruszając się po zdradliwych kępach.

– Niebezpieczne! – przestrzega leśniczy, ilekroć z żoną przychodzą zaproszeni przez Nastę. Minstrel podsłuchiwał. A leśniczy jak nikt zna Puszcę, bo to niezwykle leśniczy.

– Z powołania, i nietrunkowy – chwaliła Aniela. – A ty nie chodź na Czarcia.

Ale Minstrel musiał sam zbadać, aż doświadczył owej grozy.

Wokół czterech leśnych jezior, czarnych oczu ziemi, zalega podstępna łąka. Piękna. Puszysta niczym sierść zielonego królika. Tak stroi się topiel, jedwabiste futro ugina się pod ciężarem człowieka, nawet można się na nim pohuścić, jeśli się dość głęboko nakłuje rosochem, sika brunatna maź. Raz Minstrel nadto zawierzył torfom i noga wpadła mu po biodro. Dalej zaczyna się oparzelisko na Czarciej Łapie.

Początek bierze w miejscu, skąd ziemia patrzy na świat przepastnymi źrenicami. Złe uwalilo się przed oczyma ziemi, daleko wyciągnęło jedną łapę. Po jej krawędzi można się przedostać do wysokopiennego lasu, widocznego na horyzoncie, pewnego miejsca pośród mokradeł, chociaż owej łapy nigdy nie ujrzysz, jedynie wyczujesz stopą. Bieda w tym, że Złe prostuje albo podwija pod siebie jedną lub drugą kończynę i bagienny bród chytrze się przemieszcza.

– Tak Złe wciąga ludzi w trzęsawisko bez śladu i ratunku. Nie chodź tam nigdy więcej, bo przepadniesz jak ruda mysz, zaś nasza artystka umrze z rozpaczy – wieszczyła

Aniela ściągając z Minstrela unurzane w szlamie odzienie, ale jego wyprawę zachowała w sekrecie.

Nasta zajęta budzeniem świata na pięciolinii, nawet się nie domyśla, że o szarówce Minstrel ucieka przez okno z zamkniętego domu, by uczyć się od łosia stąpać skroś grani Czarci Łapy, w oparach chłonnego bagna.

– Po żurawiny na Czarcia można chodzić dopiero, kiedy skuje mróz – przestrzegła żona leśniczego, jakby Nasta naprawdę wybierała się zrywać te czerwone jagody zwabiające ludzi w największe grzęzawisko. Tak zginął Obcy, co zaufał podstępnemu kozuchowi traw, tam niebędącemu już nawet kozuchem tylko cienką skórką, maskującą topiel.

Naście nie grozi niebezpieczeństwo. Nastę nie interesuje zbieranie owoców Puszczy. Nasta tam nie chodzi. Mówi, że nie ma czasu ani potrzeby, skoro mieszka w lesie. Ogród Nasty jest duży, pełen starych drzew i młodych sadzonek. Przychodzą do niego zające, czasami kuna, łasica, ale nigdy jelen, daniel czy dziecko sarny.

– Nie bój się – Minstrel wyciąga ramiona, zaniepokojony sarniuk podnosi się na zadnie nogi i prostuje przednie.

Czasami z niewiedzy ludzie marnują zwierzęta. Minstrel w samą porę przypomina sobie, co Naście opowiadał leśniczy. Samotne dziecko sarny wcale nie znaczy: opuszczone. Matka z całą pewnością znajduje się gdzieś w pobliżu, może nawet w tej chwili już widzi Minstrela opodal małego i serce jej pęka z obawy.

Koźłęcia nie wolno dotykać. Sierść zatrzyma obcą woń, pachnącego człowiekiem matka może porzucić. Minstrel wycofuje się z powrotem w gęstwę trawy. Omal nie wyrządził strasznej krzywdy swojemu bratu. Siostra Agnes mówiła, że zwierzęta są młodszymi braćmi, czego nauczał święty Franciszek z Asyżu.

Na szczęście nie podpełzł jeszcze zbyt blisko i nie głaskał sarnięcia, matka go nie opuści i ono nie zostanie sierotą. A dziecko sarny jakby zrozumiało Minstrela. Znowu legło w maskującym cieniu arcydzięgla.

Gdzie ona jest?

Minstrel rozgląda się uważnie i wreszcie odkrywa sarnę. Pasie się na skraju polany. Na tle lasu jej ruda sukienka zlewa się z barwą pni i usypisk zeschniętych sosnowych kolek.

Sarna unosi głowę i zastyga, nieruchoma jak otaczające drzewa. Bada ukazując jaśniejsze od okrywy podgardle. Skok. Wolta. Miga lustro, beżowa łata podogonia.

Grzmi salwa.

Puszcza odbija zwielokrotniony pogłos. Pod sarną załamują się nogi, pada na kolana, dźwiga, niezbornym truchtem uchodzi ku pobliskiej ścianie boru. Rozwija za sobą czerwoną wstążkę. Daleko, na przeciwległym skraju wynurza się mężczyzna. Minstrel widzi, jak unosi do oczu flintę. Mierzy.

– Nie, nieeee!!! – krzyczy Minstrel i biegnie na ratunek sarnie. W zamęcie, jaki w nim powstaje, huk i poszum następnego strzału odbiera bez związku z pierwszym. Widzi jedynie, jak zwala się ciało barwy młodego kasztana, jeszcze tylko przez chwilę chwije się na uniesionej szyi szlachetna głowa i powoli kloni ku ziemi zasłanej igliwim.

Oprawca zbiega w morze rozkrzewionych ziół, Minstrel przypada do zwierzęcia, ale nic już nie może dla niego uczynić. Sarna umiera. Nieprzerwanym strumykiem toczy się krew po jej boku, wsiąka w podszycie, tam już krzątają się polśniewające malachitem żuki czyściciele. Z szeroko otwartych oczu sarny płyną łzy.

Myśliwy wciąż jest jeszcze daleko. Nie jest sarną, nie umie śmigać po łące, nie jest nawet tak szybki jak Minstrel. Ustał i brnie przez wzburzone trawy; zielem szczepionym wzajem koronami, mietlicą kurzącą kwietnym pyłem, pokrzywą, ostem i pnączem powoju stawia polana opór zabójcy.

Minstrela ogarnia strach. Bezbronny, widoczny, łatwy cel, jak sarna. A chociaż odległość nie pozwala rozpoznać rysów tamtego człowieka, Minstrelowi wydaje się, że widzi złe oczy i grymas wściekłości na twarzy ociekającej potem.

Ucieka.

Nieco otrzeźwia głęboki cień pod kopułą starodrzewu, ale gęstwa podszycia nie budzi zaufania. Trzask suszu pod stopą, szmer świerkowych łapek, szelest jeżynowych pędów, w jego odczuciu brzmią głośno, więc z pewnością wskazują kierunek, a śladem podąża tamten okrutny morderca sarny.

Plecy, ramiona, obolała głowa, całe ciało woła o kryjówkę. Wpełza pod szatę młodej jodły, falbaną rozpostartą na mchach. Skulony na boku z kolanami podciągniętymi pod brodę udaje nieżywego żuka.

Dziecko sarny, musi ratować dziecko sarny!

Nie jest w stanie się ruszyć, nie może się zdobyć nawet na wyciągnięcie ręki, aby odchylić zasłonę z kołących kitek. Jest martwy, żyją w nim tylko uszy i wewnętrzne oczy. Poprzez pieśń lasu słyszy dźwięk motoru i ludzkie głosy, pod zaciśniętymi powiekami wciąż płacze umierająca sarna.

Z duktu o kilka kroków od jego schronienia, wytacza się samochód i zatrzymuje przy ubitym zwierzęciu. Dwaj mężczyźni wrzucają kasztanowate ciało do bagażnika.

– Przynajmniej wiesz, kto to był?

– Nie. Wyprysnął z traw i pomknął w las. Pewno ktoś z robotników leśnych. Spał, chyba po wódce. Wyrывał i kwiczał, jakbym do niego strzelał. Omal nie wpakował się na linię.

– Mógł cię rozpoznać.

– Był za daleko i miał słońce w twarz. Zresztą, nieważne.

– Czy to nie czub od Artystki?

– Bardzo możliwe – przyznaje Bogusz.

– Podaj mi z łaski swojej nóż. Jest w mojej torbie.

– Nie marudź, Henryk! Zaraz zaczniesz się upać, zaparzy mięso w kufrze.

– Muszę zdjąć warstwę ziemi z farbą, Wiktor.

– Przysyp szpilkami, wystarczy.

– Lepiej zrobić porządnie, nie zostawiać krwi.

Kto mówi o nożu, kto mówi o krwi?... Krew... utopione dokumenty tożsamości. Tożsamości, śmieszny dźwięk... Silenzio znaczy milczenie, a Silenzioso milczek.

– Majaczy – szepcze drugi głos.

– Ratujcie Silenzia – krzyczy, lecz słowa wydobywają się z jego ust niegłośniejsze niż tchnienie i on sam ledwo je słyszy.

– Nie martw się o niego, wszystko będzie dobrze – mówi głos, jakby uspokajał dziecko.

Bardzo jest zmęczony, ale przecież musi przestrzec, zbiera wszystkie siły, pokonuje bezwład warg, stara się mówić głośno i wyraźnie.

– Dom Lalek, La Comte, Carlo, Szef... wrogowie Silenzia – zapada w bezwład jak w puch. Dobrze jest spoczywać w białej pustce, w której nie ma żadnych musów, pragnień ni lęków. Dobrze jest czuć dotyk dłoni zbierającej deszcz, a może rosę, z jego twarzy.

– Silenzio jest bezpieczny. Możesz spokojnie zasnąć. Resztę opowiesz, kiedy będziesz silniejszy.

– ... stan krytyczny. Wszystko w ręku Boga – pochyla się głowa w białym kornecie ze sztywnymi skrzydłami, szeleści krochmalone płótno.

Znowu biel.

Biel poraża oczy. Lepiej trzymać je zmrużone, najlepiej wcale nie otwierać, chociaż i tak przenika przez zamknięte powieki. Płyta oślepiającego kamienia uciska pierś, nie pozwala oddychać. Uwolnić się od tej barwy, powrócić. Dokąd?

– ... siostró, tlen.

Poza śnieżną równiną jest tylko ciemność, z której się wydobywa. Stoi na krawędzi wirującej tarczy przenoszony na zmianę w biel lub mrok gęsty jak wojłok. Woda zalewa usta, twarz oblepiają zwiędłe liście opadłe z drzew, oplątują łodygi grążeli, zasnuwa rżesa. Brak tchu.

Powietrza!

Zaczerpnąć trochę powietrza, chociaż na jeden oddech, nie krztusić się zgniłą wodą. Silenzio... Silenzioso... Rozpada się świadomość, opuszcza ciało, tuli się jeszcze w końcach palców, ucieka w źdźbła nienazwanego ziela zerwanego w głębinie przez szamoczące się ręce rozpaczliwie pragnące oparcia... Zanika rozmywany nieruchomą tonią. Nawet go nie poniesie z nurtem, tylko rozmiękczy, przetrawi, wchłonie jak zdechłego ślimaka, martwą żabę, jak śniętą rybę.

– Aqva vita...

– Ma dość... zostaw małego.

– La Comte, Carlo, Szef, Dom Lalek – czy powiedział dostatecznie wyraźnie, żeby one, kimkolwiek są, zrozumiały?

– Jedenaście pchnięć... Beznadziejne... Silny organizm... Wykrwawienie... Bez zmian... Nie ma kontaktu... Bóg jest miłością... Nasta jest największą miłością. Nie bluźnij!

Niknie złota twarz Nasty, oddala postać obrysowana niteczką jasności, jakby wydzielaną przez świetliste włosy okrywające ramiona. Odwraca się i podąża za zakonnica.

Mniszka z dłońmi wsuniętymi pod brzegi czarnego fartucha z alpaki oddala się bezszelestnie, długa, ciemnoniebieska spódnica płynie nad kamienną posadzką jak suknia lalki poruszanej ukrytym mechanizmem. Biel uskrzydłonego czepca zlewa się z bielą nagich ścian korytarza. Perspektywę zamyka od podłogi po łuk sklepienia krzyż z czarnego drewna z rzeźbionym wizerunkiem stortuowanego ciała boskiego syna.

– ... ucisz serce swoje, wyrzuć zeń nienawiść, chciwość i pychę. Mea culpa... Mea maxima culpa!

Wszystkie winy świata zmazuje głos organów. Przezrocyste ręce siostry Agnes snują pieśń.

– Sonata Beethovena, opus sto jedenaste tonacja c-moll, napisana w roku tysiąc osiemset dwudziestym drugim. Ostatni utwór kompozytora – mówi głos.

– Dotknięty matołectwem? – zastanawia się inny głos, dawniejszy.

Z pewnością uwaga nie dotyczy Beethovena.

Sonata wypełnia przestrzeń. Siostra Agnes rozmawia z Bogiem. Niewidoczna siostra Agnes ukryta pod malowanym stropem za balustradą empory, gdzie pośród złotych tralek fruwały złote aniołki dmące w złote trąby Putta tłuste i nagie, tak je nazywał Silenzio, wspominając Dom Lalek. Tony są coraz głębsze, coraz ciemniejsze, płyną jak nurt mrocznej, wzburzonej rzeki.

– Organy są królem instrumentów i instrumentem królów – mówi głos.

Kościół Saint Pierre w Souvigny. Fragment z dwunastego wieku z romańskimi łukami, Bazylika Notre Dame w Paray-Le-Monial wzniesiona staraniem opactwa Cluny. Zachowało się prezbiterium z dwunastego stulecia, kościół Notre Dame La Grandę w Poitiers... Kuchnia opactwa w Fontevault zbudowana na planie wielokąta, wieże charakterystyczne dla tego czasu, pokryte głowicami w kształcie sosnowej szyszki... Kościół z granitu Saint Pierre w Solignac... Gotyk Primaire – objaśnia głos.

Rayonnant... flamboyant – mówi głos.

Pinakle, kwiatony, manswerki, wimpergi... Chartres, Amiens, Reims... Sante Chapelle i Notre Dame w Paryżu... Pieta Awiniońska – monotonnie czyta Nasta.

– Gotyk to także mentalność, powinnaś stać się kobietą tamtego czasu, musisz porozmawiać z mediewistą – żąda głos.

Tłum kłębi się, biega – fotografuje – drepcze – fotografuje – zadziera głowy ku filarom rozkwitłym kielichami wsporników łączących się w łuki sklepienia – fotografuje – wspina się spiralą schodów, sto osiemdziesiąt dziewięć stopni, wyżłobionych niezliczonymi stopami od stuleci wstępującymi tędy pod samą wieżbę hełmu wieży, pod samo niebo – fotografuje.

Nikt nie słyszy pieśni piaskowca, granitu, twarzieli, nikt nie słyszy, jak grają donżony Carcassonne, łupki na koronie murów Poitiers, wiatr w przyporach Reims, tylko on, Minstrel! Prześwietlone słońcem witraże kładą na kamieniu posadzki purpurę, fiolet, zieleń... Kamień śpiewa. Nikt nie słyszy, jak śpiewa kamień, kolorowe szkło, scalający je ołów.

Primaire!

Nasta śpiewa pieśń gotyckich katedr, stołpów kaszteli Akwitanii, warowni Prowansji, pieśń skalnych ciosów, które uwięziły dusze muratorów i zaklęły na zawsze w wysmukłych wieżach, kamiennych koronkach, barwionym szkle.

Nasta stoi nieruchomo z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała w ciemnofioletowej tunice. Jedwab spada hieratycznymi fałdami i ściele się sztywną draperią wokół nóg.

Punktowiec wydobywa ostry kontrast z załamań tkaniny i upodobnia do rzeźby.

Scena wygaszona.

W smudze matowego światła padającego z góry, bladym złotem pełga głowa, proste włosy okrywają ramiona, spływają na piersi. Nasta nie nosi żadnej biżuterii. Jak jedyny klejnot sięgający kraju sukni leży przed nią na podłodze barwna plama o nasyconym walorze, refleks fioletu, purpury, zieleni, niby odbicie prześwietlonego witraża.

Nasta śpiewa w Języku d'oc, starym języku minstreli Prowansji i Langwedocji. Kończy ostatnią pieśń z pierwszej części gotyckiego tryptyku, sala huczy oklaskami, wołaniem o bis. Nasta nie bisuje, nie kłania się, nie uśmiecha, nadal stoi nieruchomo i jest w niej coś ze strzelistości średniowiecznej madonny i pogańskiego bóstwa z ciała i krwi pulsującej pod marmurem.

Rayonnant!

3.

Z początku Bogusz puścił mimo uszu wiadomość o kupieniu przez Artystkę dworskiej ruiny. Nazwisko nic nie mówiło, w telewizji nigdy go nie słyszał. Nowinę przyniosła Aniela, ta chytra dworóska, która jak głodny pies pobiegła po lepszą kość, ani pamiętając o dobrodziejstwach.

Wdzięczność chamów ma krótką pamięć. Zapomniała, kto ją ratował, gdy nie mieli co jeść ze swoim garnaczem.

Biedy chadzają parami. Mężowi cofnięto zezwolenie na sprzedaż wyrabianych skorup. Proceder straszyl nowo nastalego Sekretarza niekontrolowanym bogaceniem się jednostki, skąd wiało grozą odrodzenia się hydry kapitalizmu. Żonę zakwalifikowano do kategorii sługusów minionej warstwy wyzyskiwaczy i wyrzucono z kuchni stołówki Komitetu w Gawrze, jako element politycznie niepewny.

Aniela przyjechała do Warszawy. Bogusz ratuj! I Bogusz ratował.

– Trzeba podchodzić dialektycznie, a ta dworóska, lokajska jej dusza, klasowo obca. Wiecie towarzyszu je u nas kadra partyjno-kierownicza, je Bezpieczeństwo, je Milicja. Nie daj Panie Boże, jakiego nieszczęścia – podsumował Sekretarz.

Bogusza nie raziła prostota podziału. Wówczas podobne kryteria personalne obowiązywały wszędzie. W jego ministerstwie też. Tylko skala była inna.

Przysłany ze świata gawrzański Sekretarz niedawno nastał, ludzi nie znał, zawodu nie miał, wielkim umysłem nie grzeszył, wykształcenia nie posiadał. Ideologicznie podszkolony na przyspieszonych kursach, sprawował swój urząd ze świadomością zbrojnych oddziałów podziemia wciąż jeszcze obecnych po dookólnych ostępach, pod presją kategoriycznych nakazów podawanych z góry i obsesyjną troską o swój autorytet.

Stałe zagrożenie życia z jednej strony, pozycji służbowej z drugiej, obowiązek programowej czujności i brak kompetencji uczyniły zeń szczególnego rodzaju człowieka. Bogusz go rozumiał i podzielał przekonanie, że z dwojga złego lepiej wyrzucić dziesięciu niewinnych niż przeoczyć jednego wroga. I coś mu z tego pozostało. Nadal oceniał klasowo, jeśli mu się ktoś naraził.

Za Anielę gotów byłby poręczyć, jednak nawet nie próbował przekonać Sekretarza, że Aniela nikomu nie zatruje zupy. W takiej aurze, każda niestrawność żywionych przez dawną dworską posługaczkę mogła ją przemianować z elementu obcego na wrogi i sprowadzić nieszczęście także na protektora.

Czerpał doświadczenie z niedawnej przeszłości. Po ucieczce z Błot przed niechcianą konspiracją, zaczął się w mieście jako milicjant plutonu operacyjnego. Kierownik kantyny, etat cywilny, sprowadził do bufetu cytryny. Pierwsze cytryny po wojnie, bodaj wydębione z darów UNRRA. Większość ich, młodych, przeważnie wiejskich chłopaków, razem z nim, Boguszem, jeszcze nigdy nie kosztowała egzotycznego owocu. Rzucili się kupować, dzielono po kilogramie, jedli łączywie nurzając grube plastry w torebkach z cukrem. Nazajutrz połowa oddziału dostała wysokiej gorączki, bóleści i ostrej biegunki.

Aresztowano kierownika kantyny podejrzanego o wrogą działalność, który, niewykluczone, w zмовie ze światowym imperializmem podsunął zatrute cytrusy Zbrojnemu Ramieniu Demokracji, jak w przemówieniach nazywał milicję oficer polityczny. Analiza nie wykryła toksyn w cytrynach, ani w strutych ofiarach zamachu. Po trzech dniach dolegliwości ustąpiły samoistnie.

– Chłopaki żarli jak wilki i się przeżarli niezwyčajni delikatesu – orzekł szef sanitarny.

Dochodzenie umorzono, kierownika kantyny wyjęto z ciupy, a chociaż już nie chciał, przywrócono do pracy.

Pomny owych doświadczeń, Bogusz nie próbował kwestionować podejrzeń dotyczących prawomyślności Anieli, lecz nie pozostawił jej bez pomocy. Krakowskim targiem załatwił pracę na koloniach letnich, skąd po dwóch sezonach też ją zwolniono, jako klasowo niepewną była pańską kucharkę w sarniejskim dworze.

Tak naprawdę Aniela we dworze nigdy nie dochrapała się prawdziwej posady, przez cały czas pomagała przy grubych robotach kuchennych. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Podział przebiegał prosto. Folwarczni i dworscy. Folwarczni, czyli fornale, ci, owszem, bliscy nowej rzeczywistości. Dworósy to sługi, posłuszne narzędzie dziedzica, psy łańcuchowe o zatraconym instynkcie swojej warstwy, kłusające rękę, która chce ich wyzwolić z uwięzi.

Kadrowiec potrzebował miejsca dla swojej teściowej. W masywie sarniejskim o pracę dla kobiet było i pozostało trudno. Tym razem powiadomiony Bogusz zadziałał szybko i skutecznie. Kadrowca utemperowano.

Na tym nie wyczerpała się życzliwość Bogusza. Kiedy Garnarczowa została z sierotą na karku, kto się zatroszczył? Bogusz. Raz, dwa, gminną opiekę społeczną uruchomił, potrzebującą wskazał. Pewno, z tego powodu kosztów ani ryzyka ani trudów nie poniósł, akurat w Gawrze naczelnikował jeden z Boguszów, ale nie wiadomo czy kto inny sięgnąłby chociaż po telefon, żeby nic nieznaczącej kobiecie rentę opiekuńczą przysposobić. Lecz cham pozostanie chame.



Bogusz wiecie się ze szlachty. Jeszcze dziadek Bogusza nazywał się Bogusz-Boguszewicz, ale jak chrzcili Boguszowego ojca, kumowie się spili i do status animari poddyktowali tylko partykułę. Tak ród został pozbawiony podstawowego członu nazwiska.

Bogusz nie przywiązuje wagi do reliktyw, niechaj się jednak rozżłości na kogoś z sarniejskich albo pohorzańskich, myśli o nich: chamy! I próżno tłumaczyć, że cham to zachowanie, stosunek do innych, nie kondycja, nie warstwa społeczna.

Bogusz urodził się w Błotach Szlacheckich. Zaścianek leży na grądzie pośród mokradeł. Gospodaruje na torfach, piaskach i podmokłych łąkach nazywanych popławami. Wokół Puszcza. Kąt deskami zabity, z dala od głównych traktów i węzłów komunikacyjnych. Do świata nadal mają dalej niż Sarnia. Muszą okrążyć bagna. Dawniej przeprawiali się, jak i sarniejscy, brodem poniżej młyna wodnego, później, jeździli przez most za gumnami sarniejskiego dworu.

W tamtych czasach mieli czteroklasową szkołę powszechną i poczucie lepszości, które i teraz dochodzi do głosu. Czerpali je ze swojego szlactwa. Na sarniejskich, pohorzańskich spoglądali z wyższością. Chamy. Nie, w oczy tego nie mówili, chyba w wielkiej kłótni.

Częściej wojowały dzieci.

– Idą chamy granicą, piją siki donicą. Idzie szlachta miedzą, masło sobie jedzą – śpiewały umorusane oberwańce z Błot Szlacheckich, wytykając umorusanym oberwańcom z Sarniej, że miedzę nazywają granicą.

Sarniejskie dzieci głęboko dotknięte zawartością owej donicy, odcinały się rymowanymi uwagami z dziedziny konfekcyjnej.

– Te szlachcice z błotniaków gubią słomę z chodaków. A sitowiem jak odzieniem okrywają przyrodzenie.

W większości i jedni i drudzy z braku butów zimą siedzieli w domu. W letnie niedziele i ci z Błot, i ci z Sarniej szli do kościoła w Gawrze, niosąc trzewiki w rękę i wzuwając je dopiero przed opłotkami kościelnej wsi, z której po wojnie najpierw uczyniono powiat, a następnie siedzibę gminy.

I chamy i szlachta masło jadałi rzadko. Stanowiło towar przeznaczony na sprzedaż. Opędzało się za nie najpilniejsze potrzeby. Mydło, zapalki, naftę.

Każda kobieta trudniła się jego wyrobem. Zlewała mleko w ł a d y s z k i i stawiała w chłodnym ś k l e p k u. Śmietaną zbierała łyżką, gdy uskładała kilka litrów, tłukła gęsty płyn w drewnianej maślnicy, póki nie oddzielił się tłuszcz. Wydobywała blade grudy i płukała z resztek maślanki wygniatając kopyścią, by w masie nie pozostała ani kropla, bo łatwo kisała i psuła smak. Wymyte masło zaprawiała sokiem z marchwi, co nadawało mu ową złocistą barwę, i formowała w gomółki. Owinięte w liście dzikiego chrzanu i wilgotne lniane szmatki, wraz z serami, jajkami i śmietaną nalana we flaszki, układała w koszu, opasywała go płachtą i troczyła do pleców końce zgrzebnego płótna wiążąc przez pierś, na krzyż.

Boguszowa matka, jak i inne kobiety, szła do Grodziszcz boso, niosąc obuwie w rękę. Wychodziła o pierwszych kurach, żeby zdążyć na rano. W dni targowe objuczone łubami wieśniaczki nadciągały ze wszystkich stron, rzędami stawały na rynku.

Ludzie przebierali, grymasili, targowali się. Masło chude, bo za mało żółte, ser za wilgotny, śmietana za kwaśna. Czym wyżej wznosiło się słońce, tym niżej spadały ceny. Masło miękło w upale, kipiała burząca się śmietana, twaróg pocił serwatkę.

Grodziszcz było siedzibą starostwa. Miało sąd powiatowy i grodzki, komisariat policji, więzienie, szpital, cztery kościoły, synagogę, cerkiew i meczet, gimnazjum, pięć cmentarzy każdy innego wyznania, trzy kancelarie adwokackie i trzech lekarzy z prywatną praktyką. Miało hipotekę, rejenta, dwie restauracje, dwie cukiernie z bilardem i szachami, oraz jedną kawiarnię, gdzie obnosiły modne toalety i kapelusze znudzone panie z establishmentu, wtedy nazywanego elitą.

Składało się Grodziszczce z jednej brukowanej, bardzo długiej ulicy. Zaczynała się hotelem George, a kończyła tiurnią. Twardą nawierzchnię i zwartą pierzeję posiadały jeszcze cztery przecznice, reszta to były niebrukowane drogi, krzywe zaułki z kępami łopuchów, mniszków i dzikiej koniczyny, przytulonych pod płotami, wydeptane trakty błotniste w jesienne słoty, pylące latem kurzawą, krzyżujące się skroś ogrodów z drewnianymi domami.

Ludzie żyli z ziemi, tartaku, nieliczni z kolei. Żydzi w niepojęty sposób utrzymywali się z handlu, chociaż jaki taki ruch panował w ich kramach i warsztatach tylko dwa razy w tygodniu, podczas targu.

Miasto nie miało mocy wchłonąć towaru dostarczonego przez kobiety ze wsi. Staraly się sprzedać go za pół, nawet za ćwierć ceny, byle nie wracać z pełnymi jukami. Musiały pozbyć się nabrała przed południem, później rynek pustoszała.

Zmęczone i rozczarowane, bo nigdy nie uzyskały tyle na ile miały nadzieję, robiły konieczne zakupy i z pozostałą garścią niklu w gałganku, rzadko ze srebrną monetą, wlokły się z powrotem, drzemiąc w marszu. O zachodzie docierały do domu. Daleko na spotkanie wybiegały dzieci.

Kobiety sięgały do kobiałek, dzieliły pszenną bułkę i poduszcзки, albo raczki, tanie cukierki w różowo zielone paski, nadziewane jabłkowym powidłem lub chrupką masą. Gościniec, oczekiwany przez cały dłużący się dzień.

To chałupnicze przetwórstwo przynoszące nędzny zarobek pamiętał z rodzinnego domu proboszcz gawrzański. Ziemie probostwa świeciły przykładem, gumna plebanii można było na wystawie pokazywać. Maszyny ułatwiały najcięższe prace. Wszystkie poruszane siłą końską. Na takim areale traktor i motor elektryczny kalkulowały się znacznie drożej niż utrzymanie parobka i dwóch najprzedniejszych belgijskich wałachów. Takie to były czasy.

Na co dzień Kanonik obowiązki duszpasterskie odprawiał szybko.

– Idźcie pomodlić się pracą, też Panu Bogu wielce jest miła – wyganiał z ławek zapóźnione dewotki. Zamykał za staruchami kościół i dołączał do pracujących ludzi. Tylko koloratka odróżniała go od innych chłopów.

Miał swoją słabość.

W całej parafii para bułanków Kanonika była najpiękniejszym końskim zaprzęgiem. Równać się z nimi mogły tylko dworskie deresze. Proboszcz powoził sam. Jeździł ostro. Ogiery pruły piersią powietrze, ledwo muskając ziemię kopytami. Gęsto nabite miedziane ćwieki na uprzęży z podkładką z zielonego filcu lśniły jak sierść kłusaków. Nad nimi obłokiem płynęły w pędzie długie, jasne grzywy. Łabędzie nie konie. Podobne rumakowi świętego Jerzego na obrazie w ołtarzu.

Proboszcz zagonił parafię do budowy mleczarni.

Zaczął od perswazji, lecz kiedy zabrakło cierpliwości wybrał komitet budowy po jednym z każdej wioski. Skarbnikiem nazaczył Boguszowego ojca. I począł wyciskać pieniądze.

Patronował fantowym loteriom, oprocentował strażackie zabawy, niemałe dotychczas, wzrosły niepomniernie opłaty za śluby, chrzty i pogrzeby zamożniejszych, bo biednych grzebał za co łaska albo i za Bóg zapłać. Pochówki były wyjątkiem. Żadnego dziecka za darmo wodą chrztu nie skropił, nikomu rąk stułą nie związał.

– Wódki na poczęstunek mniej kupisz – powiadał każdemu, kto usiłował cokolwiek wytargować na sakramencie.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI